

4

Gopłana
Obrazek kijowski

Śmierć.
Obrazek z życia codziennego

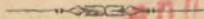
Poznań 1885

Goplana

Obrazek kujawski.

Smierć

Obrazek z życia codziennego.



W POZNANIU.

Czcionkami i w komisie W. Simona w Poznaniu.

1885.



113643

GOPLANA.

Obrazek kujawski.

— Hej, hej! A gdzieżeś to ty nasze wielkie Gopło kochane, jedyne?!

Zapomnieli już ludzie, gdzie owo jesteś i jak teraz wyglądasz, ty wodo nasza kochana! Co się tam u ciebie dzieje i jacy ludzie nad twojami brzegami — i o tém już ludzie dzisiaj nie wiedzą!

Pielgrzymujże, odwieczny Lachu, zamast do krajów zagórskich, w okolice prastarój Kruświcy, przyjrzyj się stronom, gdzie niegdyś Lech — a dalej i stronom, gdzie i Piast przebywał! Niejedno tam na ciebie czeka wzniosłe uczucie — a groza i powaga wielkiego i prastarego Gopła może ocuci w tobie zamiérzchłe poczucie miłości Ojczyzny. A może, wsiąwszy do goplańskiej łodzi, spotkasz się gdzie na wzburzonych wodach Gopła i z królową wod tychże — spotkasz się może z

Goplań!... Bodajby się tak stało — bo powiedziałaby tobie Goplań, która godzina na zegarze czasu polskiego, a ty i sam, i braci może swoich obudziłbyś z leniwój drzémki terazniejszej!

Gniéwne było Gopło pod koniec zeszłego miesiąca.

Wzburzone wody jego pienily się i huczały, dészcz przytém lał bezustannie — smutno, groźnie i ponuro wyglądały wody i okolica. Słońce zaledwie chwilami przedzierało się przez czarne, rozdarte wichrem chmury, uragan prawdziwy wył, z wściekłością przewalając ogromne bałwany wód goplańskich. Ptactwo wodne przelatywało nad falami i wypłoszone z trzcin nadbrzeżnych wichrem i miotane burzą, nie wiedząc, gdzie się schronić na noc — a wieczór już nadchodził. Tu rybitwy śnieżne, o czerwonych, jak krew' nóżkach, oblatywały nad wzburzoną wodą, piszcząc smętnie i raz po raz uderzając białą pierśią o szczyty czarnych bałwanów; tam dzikie kaczkę przelatywały niespokojnie całemi stadami; ówdzie czaple krążyły ociężale, tam znów nurek jeden i drugi i dziesiąty to bujał po srożących się falach, patrząc ciekawie na chmury i szukając widać słońca, to znikał w bezdennych otchłaniach, aby dalej znów zjawić się na szczycie niebotycznego wału wody. Jeszcze dalej przelatywał klucz żorawi, kracząc cienkim, urywanym głosem — a dalej jeszcze stadko łabędzi ciągnęło sznurem.

Nad brzegiem pniącego się jeziora stał jakiś człowiek wsparty na lasce, a wpatrzywszy się w walczącą ze sobą przyrodę, widocznie doznawał z powodu owój straszliwej walki błęgiego uczucia. Uśmiechał się bowiem czasami smętnie, spoglądając w okół. Widocznie jakaś burza grała i w jego wzburzonej piersi — to téż burza w naturze była mu tém przyjemniejszą! I cóż mu to było, że aż serce czasami ręką przyciskał, chcąc, aby tak mocno nie biło?

Może go kochanka zdradziła?!.. A może bolał nad nieszczęściem Matki naszej — nad straszliwą chwilą obecnego zwątpienia, materjalizmu i zarazy kosmopolityzmu?!

I cóż mu było? — Czy dla tego cierpiał?
Alboż ja wiem!.. Być to wszystko może!

Łodzie nadbrzeżne we wsi Zajezierzu powyciągali rybacy daleko na ląd, przewidując snać burzę. Dwie tylko chwiałały się i bujały na wzburzonej wodzie, przytwierdzone łańcuchem do pala. W téj chwili jednak urwał buragan jedną z nich i popędził na fale. Skacząc z wału na wał, raz i drugi zakręciło się biedne czołao, jakby w strachu szukając opiekuńczej ręki człowieka — zakręciło się raz i drugi i poszło na dno bez śladu.

Patrzył na to ów człowiek, a spuściwszy głowę na piersi, wbił jakoby wzrok w ziemię przed sobą. Widocznie bardziej jeszcze posmutniał wsku-

tek może smutnego prognostyku, jaki snąc przywiązywał do miotanego przez uragan czcłna.

Wywiódł go ze zadumy nadchodzący rybak.

— A co, panie?! Straszne się tu rzeczy dzieją, a jeszcze straszniejsze dźać się będą. Widzi pan, słońce ma się już ku schyłkowi, a tu wiatr od zachodu się wykręcił. Oj, będzie burza, będzie — jakiejśmy już dawno nie widzieli. A i ona się pojawiła — a to wszystko znaczy straszna burza.

— Co za ona?

— No, to pan chyba nie tutejszy! No, ona!...

— Co za ona?

— I pan nie wie? No, ona... Goplana tam za wyspą się pojawiła! Boże zbaw'!

— Wiész co, przyjacielu. Nim słońce zajdzie, przewieź mnie na wyspę.

— Nie kpij pan ze starego człowieka!

— Ależ ja nie żartuję bynajmniej! Masz oto tę sztukę złota!

— Panie młoty! Za wszystko złoto na świecie nie uczyniłbym tego! A toć mi życie miłsze — miłsza mi biedna moja rodzina, jak to marne złoto! Radzę wam też, paniczku, dajcie pokój podróży!... Zginiecie!... — zginąć musicie marnie!...

I poszedł ów rybak śpiesznie dalej, nacisnąwszy słomiany kapelusze bardziej na głowę, który mu wiatr zerwać usiłował.

Nawinął się drugi rybak, dalej inny, i zaów inny. Wszystkim proponował podróży przewie-

zienie — ale żaden nie przystał — każdemu było życie milsze nad pieniądze. Zwątpił już podróżny o przewiezieniu na wyspę, a uparł się widać koniecznie tam dojechać.

— Muszę dojechać do „Piraty.“ — Muszę go widzieć i powiedzieć o dalszej dyspozycji. — Cóżby się inaczej stało z nami i z całą sprawą naszą!

Tak mówił do siebie człowiek, chodząc niespokojnie nad brzegiem i bijąc przytém laską o ziemię.

Aż tu nawinęło się pachole. Chłopak o długich włosach, — krzepki, barczysty, bystry i — widać mu to z oczu — odważny.

— Parobeczku, przewieź mnie na wyspę. Dam ci za to ten oto złoty pieniądz.

— Ha, panie, nie można! Pan widzi co się na wodzie dzieje!

— Co to? Tchórzysz!

— Ja tam zaś nie tchórzę, ale jak Pan Bóg dał taką niepogodę, to człowiek nie powinien próbować Jego dobroci. A zresztą, ...widzi pan, ...łodzi nie ma!... O, dla Boga, wiatr mi ją urwał! O, nieszczęsna godzina moja!

— Toć jest drugie czołno, a ja ci zapłacę za tamto.

— O, dla Boga, — dla Boga! A miałem oba na suchy brzeg wywłéc. Dopiero to będzie z ojcem.

— Ależ masz przecię drugie czołno, a ja tamto zapłacę, jeśli mnie przewieziesz.

— To drugie już stare, boję się, żeby nie było nieszczęścia.

— Głupstwo! Nie bój się! Masz oto to zło-
to — i wieź.

— A ile to czyni?

— Przeszło 30 talarów bitych.

— I to pan mi da?

— Masz!

— Niech się dzieje wola Boża! — Niech pan
siada! — Matko Bozka Najświętsza, wspomagaj
nas i dopomóż!

Nad brzegiem wzburzonego Gopła, gdzie pierw-
wój rozmawiał podróżny z ręczniakiem, stała gro-
madka ludzi. Wszyscy gromadnie rozmawiali,
giestykulując, a wrzeszcząc dla okropnego szumu
wody i wycia wiatru. Wśród gromadki zawodziła
kobięcina, płacząc, rozpaczając i wyciągając ręce
ku wodzie. Rybacy to chwyтали kobięcinę za su-
knią, to za ręce ją trzymali, nie chcąc jój pozwo-
lić, aby się rzuciła do wody. Jakiś rybak wywijał
rękoma, patrząc na fale i wołając wielkim głosem:

— Trzymaj się wciąż pod wiatr, Janku, a nie
puszczaj wzdłuż! Popuszczaj zagła! Tak... tak
dobrze! — O Jezu Nazareński, Janku, nie pu-
szczaj wzdłuż!.. O Jezu, mało co nie zatonął!
A na przelaj, Janku! Trzymaj się pod wiatr!
Trzymaj, Janku! — O Jezu Chryste, już ich i nie
widać! — O, znowu są! — I już znów ich nie
ma! Janku, Janku! Cóżeśty najgorszego uczynił!
O! nieszczęśliwa nasza godzina!

Tak wołał rybak A. — a rybacy inni mu pomagali — a matka Janka wieszczowała w niebogłosy, rwiąc sobie włosy z głowy w rozpacz za Jankiem.

Janek tymczasem ani mógł słyszeć owych lamentów, ani też widzieć, co się dzieje na brzegu. Znikł zaraz wszystkim z oczu daleko od brzegu. Łódź, istna łupina orzechowa, to spadała w otchłań pomiędzy dwa bałwany, to znów osiadała na grzbiecie nadpływającego wody wału — i tak wciąż bez końca.

— Panie, źle będzie z nami! Wiatr się coraz więcej wzmaga. Ja łodzi pod wały na długo nie utrzymam!

— Odwagi, chłopczel! Nie damy się!

— Panie, mnie siły ustają — dodał po chwili zbladły Janek. O, mój Jezu kochany!

— Panie, — zawołał chłopak znowu po chwili — niech pan mnie zluzuje — ja pójdę do steru, aż wypocznę.

— A bywaj! Tylko ostrożnie, byś nie wypadł z łodzi.

Zmieniły się obecnie role. Pan stanął około środka i wiosłował, a Janek, usiadłszy w tyle łodzi, nadawał jej, oraz żeglowskiemu swym wiosłom stosowny keirunek. Widać, że ów podróżny obyty był z wodą i łodzią, bo dzielnie wiosło dzierżył. Łódź, lubo nabierała wody, szparko sunęła naprzód. Na wyléwanie z niej wody nie było czasu, bo każdy z dwóch żeglarzy miał pełne ręce roboty.

Naraz chłopak zakrzyknął:

— Panie, woda dnem sączy!

— Trzymaj się! Wyspa niedaleko!...

Wyspa niedaleko!... Ha! ledwie ona wśród deszczu i bałwanów gdzieś tam zamigocel! A tu woda coraz więcej w czołnie przybiera, nawet wierzchem się raz po raz do łodzi wdziera. Chłopak chciał ją wyléwać czerpakiem. Ledwo życiem tego nie przyplącił. Łódź bez steru naraz się skręciła, żagiel owinął się około masztu, a obaj żeglarze zachwiałwszy się mocno, ledwie do wody nie wpadli.

— Steruj! — zakrzyknął podróżny.

Wszystko to napróżno. I nadludzkie wysilenie nic tu nie pomoże. Takięj potęgi wzburzonej natury nie zmoże dwóch ludzi.

— Panie, panie! Topimy się!

— Jeszcze nie, bracie! Trzymaj się tylko odważnie!

I naraz przysiadł podróżny na przeciwnym końcu łodzi.

— Wiosło do góry, żagiel na dół! — krzyknął na ręczniaka, sam swoje wiosło zanurzwszy jako stér we wodzie. Naraz łódź wstecz płynąc zaczęła. Lotem błyskawicy przeskakiwania z wału na wał. Ale pożądanego na razie balastu nadmiernie przybywało teraz w łodzi. Woda już prawie dochodziła kolan.

— Panie, nie dopłyniemy! — A owo ona!... Widzi pan Goplanę?!.. — zawołał Janek, błąd

jak chusta i począł się żegnać krzyżem świętym. To śmierć, panie!

— Cicho siedziéć! — podróżny zawołał. Czy nie widzisz wyspy?!

W tém straszliwie zagrzmiało, a piorun tuż obok łodzi we wodę uderzył.

Wszystko się skończyło! Łódź gdzieś zniknęła po za trzciniami.

— Próżne twe wysilenia, — mój luby, — ty szlachetny potomku Lecha... Nie tobie ich nawracać, — nie tobie apostołować!... Bo choćby i sam anioł do nich wstąpił, ten oto anioł, co u Piasta z towarzyszem gościł, nawróciłby on ich nie zdołał. Żyją w zaślepieniu, z jednej ostateczności popadając w drugą. Dawniej kordem usiłowali zbawić swą macierz, obecnie zapomnieli korda, zapomnieli swęj matki rodzonej, a rzucili się w objęcia mamony! Biéduie moje Kujawy, że i one w ten błąd poradły! Nie puszczam im wszakże tego płazem. Sprowadzam grady, burze, — chłoszczę ich wodami, aż się poprawią. Majówkę Czwartkową na mych wodach wyprawić sobie zamierzyl! Otóż mają majówkę, a ty życiem byłbyś przypłacił ten ich wybryk szalony, gdyby nie moje opieka, luby ty mój Lechu.

Tak mówiła Gopłna i odgarnęła pięknemu Lechowi sączące wodą włosy z czoła. On do niéj, leżąc na wilgnej nadbrzeżnej trawie, wyciągnął ramiona, chcąc ją wziąć w objęcia.

Usunęła się, składając na wulgotném jego czole pocałunek.

— Nie czas jeszcze na to, mój miły! Niech macierz najpierw z trosk się oswobodzi. Tymczasem udaj się do stolicy Piastowej. Tam, w prastarój Kruświcy, płaszać będą oni podług pieni teutońskich, nagradzając sobie chybiłą na wodach goplańskich zabawę.

Będą tam M....., Z....., T....., K....., G....., R..... może, — będzie tam pół Kujaw — będą i G..... Otóż pole działania. Powiedz pierwszym, że nie sama pszenica, buraki, zbawią nasze plemię — powiedz, że konieczną wiera w Boga, oraz w przyszłość naszą, którą to wiarę zatracili. Powiedz ostatni, że stojąc u świeczniku, powinni ze zabawą połączyć reformę współziomków, bo to najłatwiejsza ku temu droga — Do Kujawianek ja sama tam się do Kruświcy wybiorę, — śpiesz się, śpiesz, mój luby, bo czas uchodzi.

Ocknął się Lech pocziwy, rzucając rękoma, jakby chciał zatrzymać uchodzącą, uwielbioną kochankę. Tymczasem zamiast Gopłany, stali nad łóżem jego „Pirata,” oraz Janek wyrostek.

— A toś urznął śpika, — druhu kochany. — Wstawaj-że, bo czas jechać do Kruświcy, a i Janek chce się pożegnać.

— A to niech pan zostanie z Bogiem, wielmożny panie! I Bóg zapłać za talary! A jak

wielmożny znowu kiedy byłby chciał przewiezie-
nia, to choćby była i największa burza, to ja z
panem pojedę! Takiego pana nie żal przewozić,
co tak dobry i tak umie wiosłem władać.

— Z Bogiem, z Bogiem, Janku kochany!
A pozdrów-że tam ojców odemnie.

Salka Osińskiego w Kruświcy niezwykłym ja-
śniała blaskiem pewnego wieczora pod koniec Li-
pca tego roku. Bo téż niezwykle znalazło się w
niej towarzystwo. Pół Kujaw zjechało się, aby
tańcem wynagrodzić sobie przejażdżkę na Gopla.
Jakby bowiem Kujawiakom na złość, deszcz lał
jak z cebra przez dni kilka, w których się właśnie
odbyć miała owa regata, czy coś podobnego na
Gopla. Biędne Kujawiaki ani się domyślały, że
owa niepogoda, to sprawka patryjotycznej Go-
plany, a to jako kara za brak ducha na Ku-
jawach!

Wszakże — prawdę powiedziawszy — nie
bardzo panie kujawskie na tém straciły, że za-
miast pływać, tańcowały sobie na sali w Kru-
świcy.

A jakże pięknie postrojily się one. — Już to
nasze Polki ubrać się potrafią. (O, gdyby tak
i ducha swych żonkosów ubierać umiały!) A ja-
kież one piękne, — jakie miłe, kochane... aż się
serce śmieje!

A jakie dobre!... Już-to i dobroć naszych
Polek — mianowicie Kujawianek, — znaną jest

powszechnie. Piękne i dobre! — Daj im Boże zdrowie, dużo szlachetnego wpływu na pleć mężką, a będzie, co być powinno!

Oto patrzaj naprzykład na tę panią ze strojkiem kwiatów na głowie, jak się trzepoce mile — chociaż . No, ale dajmy temu pokój! Patrzaj dalej na tę panią z prześliczną nóżeczką, która założywszy na drugą, buja nią sobie w powietrzu.

I jedna ładna, a i druga przepiękna. Kobićki piękne zwykle się nienawidzą — ale nie u nas w Polsce. Jakże grzecznie jedna drugiejj przymówiła, nie raniąc się wcale wzajemnie. Ta wskazała na zbyt uwydatnioną nóżkę, tamta na zbyt kwiecistą koronę — i... no, i uśmiechnęły się wzajemnie.

Było to właśnie podczas pauzy w tańcach, kiedy weszły trzy nowe osoby na salę. Pierwsze dwie z nich znane powszechnie. Witają się téż i witano je na wszystkie strony. Trzecia — jakaś obca dziewczica, o bladém licu, o czarnych oczach, wiotka, idąc płynęła. Zapoznano ją z towarzystwem — młodzież jej się przedstawiać śpieszyła. Nikt jej tam nie znał. Coś osobliwszego wyróżniało ją z pomiędzy rówienniczek. Czy strój? — Nie. Owezem, skromny ubiór ją odziewał. Sukienka koloru bladój wody goplanój. Ale postawa — ale chód — ale chłód jakiś, który zdawał się wiać od niej — wszystko to ją czyniło jakimś dziwném zjawiskiem. Stworzona widać, aby pa-

nować. Przechadzając się z towarzyszką po sali, obrzucała wzrokiem każdą osobę. — Ach ten wzrok jój — owe jój oczy! Były to dwie świetne gwiazdy, zawieszona u bladego jój czoła! A jak gwiazdki na niebie mrugają, tak mrugały jój cudowne oczęta. Włos jój czarniawy, otaczał miśternie głowę, z lekka podpięty i zwity w niezwykły sposób. Żaden kwiatek nie zdobił jój miśternéj głowy, prócz lilijki wodnéj.

Panie kujawskie, zdziwione owym zjawiskiem, szeptać poczęły pomiędzy sobą. Każda jeduakże nieomal, zetknąwszy się z nią, doznawała dziwnego wrażenia — panie kujawskie posepniały po rozmowie z niezwykłą dziewicą. Czyżby im miała co posepnego mówić?...

Właśnie orkiestra zagrała walca Carlotty z „Gasparone.“ Cudowny to walec, a przyznać trzeba, przepięknie go Szwabcy z Inowrocławia grali. Nic dziwnego. Toć to ich taniec narodowy...

— Czy ja śnię, czy to nowa ułuda?

— Co takiego, kochany Lechu?

— Patrz oto na tę dziewicę — czy to nie czysta Goplana?

— Miły bracie, nie mam szczęścia znać pani Goplany, ale przedstawiono mi damie, którą Goplaną mianujesz. Widać przypadła ci do gustu. Chodź, przedstawię cié twojej Goplanie.

I poprowadził „Pirata“ Lecha do owéj dziewicy. Na próżno jeduakże. Właśnie bowiem po-

prosił ją do tańca jakiś mężczyzna modrooki. Popłynęli wiram w płasające koło. On tancerz nieładna, ale niczém w porównaniu do tańczącej dziewczicy. Pływać ona zdawała się w powietrzu z niezrównanym wdziękiem bez najmniejszego znaku zmęczenia.

Lecz cóż to! Nagle zbladł tancerz i jakoby osłabiony, podziękował dziewczicy za taniec, odprowdziwszy ją na wskazane miejsce. — Co mu się stało? Czyżby mu dziewczę miało co przykrego powiedzieć?..

Każde zjawisko, a mianowicie nadzwyczajna dziewczica, ma siłę magnesu. Przyciąga dziewczica takowa bezwiednio... mimoli... tak kobiety, jak i przedewszystkiém mężczyzn. Magnetyczne to usposobienie udzieliło się towarzystwu na wieczorku na salce p. Osińskiego w prastarój Kruświcy. Wszystko szło, jak na lep. do niéj — do owéj dziewczicy, ale wszystko — jakby strute powracało od niéj. Zaczęto sobie szeptać, że owo obce i nieznanne dziewczę szpetnie zabawę zepsuło.

Młodzież kujawska, przewącbawszy do tego, że to panna podobno bez posagu, zaczęła się w zapędach miarkować — powoli stygnąc w zapalch i ostrożnie cofać się na bezpieczne stanowisko, struta przytém jakąś moralną przewagą owéj „pięknej nieznanoméj.“

Tylko Lech jedyny, oparty o kolumnę postumentową, gonił okiem za owym zjawiskiem, wpi-

jał się wzrokiem w jej oczy, a i ona blaskiem swych gwiazdek często go obrzucała.

Czy on ją pokochał?

Ja nie wiem.

A czy ona zawarła do niego miłość?

Wiem, ale nie powiem.

Tyle tylko nadmienię, że w Kujawach po wieczorku owym zaszła odmiana. Żony mężów — mężowie żony reformować poczeli, a to wszystko w Imię Boga i Ojczyzny. Ani się domyślano, że to sprawa naszej Gopłany!

Cześć cudownej Gopłanie! Niech żyją Kujawy!

21go Lipca 1885go roku.

ŚWIERĆ.

Obrazek z życia codziennego.

Straszny to wyraz: śmierć!

Jakaż zgroza i strach przejmują skazanego na śmierć człowieka! Jeszcze tylko dzień jeden, godzin kilka, nareszcie godzina, — minuta przedziela go od wieczności! — Myśl ta, jeśli pozbawion wiary i pociechy duchownej, doprowadzić go może do szaleństwa. I to też często bywa!

Ach, straszną jest śmierć nasza!

Co za okropność dla bogacza pozbawionego wiary i łaski Bożej, opuszczać skarby i rozkoszel I on też oszaleć może z rozpacy, strachu i żalości.

A i to się często zdarza!

Jakaż okropność śmierć dla dziewczicy, której się życie uśmiecha! — Ratunku! — woła. — Ludzie, lekarzu, matko, siostró: ratujcież przez miłość bożką! Ja nie chcę umierać!... A śmierć

tuż tuż przy niej. — Tamuje ona oddech, dziewczica blednie, rzuca się konwulsyjnie raz i drugi — westchnie głęboko — i już duch jój uleciał.

A czy widzieliście śmierć zabierającą rodzicom najdroższe dziecię? Czy widzieliście śmierć zabierającą matkę sierotom? Czy widzieliście śmierć zabierającą młodzieńcowi kochankę?

Lepiej tego nie widzieć wcale, bo można z współczucia oszaleć, jeśli masz serce po temu!

Miły to wyraz: śmierć!

Jakże ona pożądana ojcu, co stracił ukochane dziecko!... Jak upragniona kochankowi, który odepchnięty przez uwielbiany ideał, nie ma sił do dalszego, okropnego życia na tej ziemi! Jak upragniona zbrodniarzowi, cierpiącemu bezustanne wyrzuty sumnienia!... Jak upragniona nędzarzowi, cierpiącemu niewysłowione bole fizyczne! Jak pożądana człowiekowi, który sterawszy siły w pracy, aby na schyłku życia osiągnąć nareszcie upragniony ideał, naraz rzucony o łożę boleści, bez nadziei wyzdrowienia, nie przestaje wyglądać śmierci upragnionój.

Daleko na pustkowiu za wsią stało domostwo z chléwikiem i stodółką.

Była to późna jesienna noc — wichur dał silny od zachodu, siekąc deszczem i stukając chwiejną okiennicą w ścianę domu. Fórtka domostwa nie zamknięta, to się otwierała na rozcież, skwiercząc i piszcząc żałośnie w zawiasach i bijąc śmierć.

zwieszonym haczykiem o deskę, to się znów zawierała, z trzaskiem uderzając o słupek. Stojące w ogródku po za fórtką drzewięta owocowe smutnie śpiewały i szumiały, naginane gwałtownym poświstem. Jedna połowa domu pogrążona była w zupełnej ciemności; w drugiej w jednym z okien od narożnika błyszczało mdławe światelko. Jakies grobowe przytém milczenie otaczało całe obejście. Ani człowieka, ani psa — zgoła żadnego stworzenia widać nie było.

Była to szkoła wiejskich gmin trojga, wystawiona dla dogodności dzieci owych w samym środku odnośnego terytorjum.

W izbie oświetlonj stało pod ścianą nędzne łoże, przy niém stółek, a na przeciwnj ścianie obok pieca wisiał ścienny zegar, jednostajnie stukając poruszającém się wahadłem. Sprzętów żadnych więcj tam nie było. Na oknie w głowach łóżka stała lampka nocna, raczej szklanka nalana wodą, na którym pływał niezbyt gruby krąg oleju, a na nim pławidełko z woskowym knoteczkiem, który się zglił słabo, a płomyczek którego chwiał się w tę i owę stronę od wiatru przeciskającgo się przez źle zakitowane szyby. Obok tego szklanka z wodą, dalej dzbanek polówny — i oto wszystko.

W łóżku, przykrytém pościelą w krateczki różowe, leżał mężczyzna o zbiedzonj twarzy. Wielkie, blade jego oczy, biegały niespokojnie po izbie, to zatrzymując się na wskazówkach zegaru,

to ślizgając się po posowie. Chory wił się czasami z boleści, jęcząc ponuro.

Na stołku w nogach łóżka siedziała dziewczyna może lat szesnastu, jakaś opiekła, czarnooka, ubrana dostatnio, raz po raz obojętnie poglądając na chorego, a ze strachem oglądając się ciągle po izbie.

Raz po raz patrzyła ona na migocące wystraszone światełko, jakby się obawiając, iżby owego światełka wicher nie zgasił. Za każdym mocniejszym uderzeniem wiatru, za każdym stuknięciem skwierczącej fórtki, oglądała się ona bojaźliwie, jakoby się obawiała jakiego wypadu, albo też wtargnięcia do izby złego ducha.

— Wody! — chory zawołał. Dziewczę podało żadaną wodę machinalnie.

— Gdzie matka?

— W mieście.

— Dla czego tam poszła?

— Aby tu nie wrócić.

— I wy macie sumnienie mnie chorego, tak opuszczać?!

— A toć ja nie opuściłam, a musiałam tu zostać na moje nieszczęście.

— Ach, mój Boże kochany! Cóż za dola moja!

— Lepiejby ojciec leżał spokojnie, toby prędzej usnął, a nie wyrzekał napróżno! Dosyć nam ojciec nadokuczał! Niech ojciec teraz wie, jak to ból smakuje!

— O doloż moja, dolo... Czegom ja docze-
kał! Och ty Lwowie, ty Pobereże!... Już ja was
nigdy nie zobaczę — nigdy noga moja już u was
nie postanie! Zaiste, kara Boża! Oj, dla Polski,
naszej maty, ne żal Boże pohulaty!...

Hulaj, Hryciu, hulaj mołojczel.. Pijdem w
łuhy, pijdem w jary — na wertepy i czahary!
Hej, ha! hura ha!

— Niech ojciec tak nie krzyczy, bo to do
niczego, a mnie strach — i ucieknę sobie, jak się
ojciec nie uspokoi!

Ale chory woła ciągle z ruska:

— Nie ujdiesz, lubeńko, bo nie masz gdzie,
bo się bojisz! A ja ci lepszego jeszcze strachu
napędzę — ja ci umrę! Dopiero cię będę po
śmierci straszył, zobaczysz! Bo widzisz, oso ty
jakaś, ja jeszcze mam siły — ja ci jeszcze...
Ruski miesiąc mnie popamiętasz!

Hej, wy durne baby! Ja tu wpadł między
was, nie wiedzieć po co! Było mi siedzieć na
Pobereżu, a nie tu życie marnować pomiędzy cha-
mami — chamskie bębny uczyć. Nie było Lacha
słuchać! Teraz Hryć postarzał, na Halicz się wy-
bierał, aż go śmierć tu na chamskiej ziemi przy-
dybała i już go do Halicza nie puści — nie! A
ty rabaja sobaka! Nuże mi miodu, wina — pić,
pić!...

Tak majaczył biędny nauczyciel na łożu bo-
leści. Pochodził on rzeczywiście z innych stron,
przybył młodzieńcem w lackie strony, chwycił się

zawodu nauczycielskiego, ożenił się, ale zawsze tęsknił za swą ziemią rodzinną — wybierał się do niej, żeby już nigdy nie wrócić. Ale mu przeszkadzano; pozostał więc, uczył wiejską dźiatwę, uczył i uczył, tęsknił a poniewi rał żonę i dzieci, bił i poniewierał, chorował i chorował, a dźiatwę uczył, nie lubiony dla ponurego usposobienia ani przez dorosłych, ani przez dźiatwę. Nareszcie znużony, stérany, bez zasobów, opuszczony przez znienáwidzoną żonę, popadł w chorobę, w której go wszyscy odbiegli, a nawet i sługa. Z musu pozostała tylko córka — zaniedbana w wychowaniu, i z tą jeszcze w końcu wojować musiał.

I opuścili biédaka wszyscy — nawet i gmina podkarpacka. A trzeba to mieć na uwadze, że sprawa ta działa się przed kilkunastu laty. Gmina, jak gmina! Widziała ona w nim raczej wroga i natręta, którego żywić, na którego składać pieniądze i zboże zniewolona. Nauczyciel dla niej, to plaga ciężka. Wprawdzie bezpośrednią władzą jego był jeszcze pan starosta, ale ponieważ nauczyciel był duszą rogatą, nie umiał czapkować, więc téż i ze starostą nie koniecznie harmoniował, zwłaszcza że nauczyciel był i wolnodumcą nieugiętym. Przy rewizyjach szkolnych nigdy nie zdybano pana nauczyciela na zależeniu pola, egzamina z dziećmi wypadały dość korzystnie, alec wszystko szło zwyczajnym, powszednim trybem.

Tak tedy i w téj przykrój dla nauczyciela chwili poszła rzecz zwyczajnym trybem. Inspektor

na czas choroby zawiesił naukę w szkole, doniósł o tém władzy właściwej, a ponieważ choroba nie groziła początkowo niebezpieczeństwem, więc czekano wyzdrowienia; dzieciaki cieszyły się, że nie potrzebują brnąć po błocie do niemiłej klasy, rodzice zaś cieszyli się, że mogli w domowych zatrudnieniach użyć dzieci do pomocy.

Tymczasem biedny nauczyciel dogorywał na pustkowiu, o czém ani się przyśniło którejkolwiek gminie.

Wiatr szalony po północy jeszcze się więcej wzmógł, oderwał okiennicę zupełnie i bił nią gwałtownie o ścianę domu, a piszcząca fórtka jeszcze więcej dokazywała, tłukąc się bezustannie o słupek. Chory przestał na chwilę majaczyć. Rozglądał się zdziwiony i zatrwożony po izbie, a zatrzymawszy błędne oczy na siedzącej obok łoża córce, zawołał.

— Cóż za noc okropna! A jak przerażająco bije ta okiennica o ścianę! Dziewczę moje, wyjdź i załóż.

— Za nic w świecie, ojczel! Ja się boję!

— Bojisz się, nieboga! A cóż poczniesz, skoro oczy zamknę — skoro ci tu umrę!..

— Ojciec nie umrze! Ojciec jeszcze silny! Ach, mój Boże kochany!

— Bojisz się, nieboga! Biedna ty jesteś istotnie! Jam cię ponieierał, prawda! Załuję tego, wierzaj, chociaż... Ale dajmy temu pokój! Teraz nie czas na przeprosiny! Córko, przygotuj

się i nabierz odwagi! Nie obawiaj się, chociaż ja umrę — bo ja umrzeć muszę! Oj, doloż moja, dolo! Już ja nie ujrzę Halicza! Córko, a która godzina?

— Trzecia po północy! Ależ ojciec nie umrze! Ja się tak okropnie boję! I jabym umarła ze strachu! Ach Boże, ratuj!

— Nie umrzesz, córko, ale raczej śmiercią moją się naprawisz! Pamiętaj, dziecko, pamiętaj na słowa moje: przez śmierć moją masz się naprawić!

— Ach, ojczu, ojczu! Ja wszystko uczynię, tylko nie umieraj! Ja się i tak naprawię, tylko nie umieraj! Ja czuję, że cię krzywdziła! Będę lepszą, będę dobrą, tylko nie umieraj!

— Dobrze, dziecko, że chcesz być dobrą! Bóg cię umocni na tej drodze! Ale ja niezadługo umrę! Nie obawiaj się tego, ja ciebie teraz miłuję i będę prosił Pana Boga za wami! Ja tobą po śmierci mojej opiekować się będę, będę cię zawsze strzegł! A więc nie obawiaj się! To ja, twój ojciec! Ja cię miłuję — ja cię straszyć nie będę!

I pocałował dziewczę kłęczące przy nim i całujące jego ręce, — pocałował je w czoło. Dziewczę łkać i ręce ojca goręcej jeszcze całować począł. Zanosił się ono teraz od płaczu, prosząc, aby ojciec nie umierał, przyrzekając wszystko uczynić, byle nie umierał.

Jakby to śmierć lub życie od woli biednego człowieka zależały!

Tymczasem chory naraz usiadł na łóżku.

— Córko, pomódlmy się oboje! Zmów' ze mną paciérz.

I oparszy się ramieniem o ścianę, począł się żegnać zwolna i modlić. Dziewczę z żarliwością modliło się razem, wzniosszy błagalnie ręce do góry i patrząc w posowę, jakby chciało i oczami przedrzeć się przed tron Bozki do nieba.

Ach, jakże gorąca była modlitwa tych dwojga ludzi! On — umierający, ostatnią siał modlitwę z ziemi przed tron Bogal — Ona — w zaczątku życia, — skruszone dziecko, które dopiero teraz pokochało dziecięcém uczuciem własnego ojca, ona — tracić go mając, rzewną modlitwą chciała życie jego uratować! Dziewczę dotąd szorstkie i o ostrych rysach, naraz wypiękniało. To cud obudzonej duszy — cud modlitwy!

Właśnie modlono się za dusze zmarłych: wieczny odpoczynek...kiedy chory, opadając zwolna na poduszki, zawołał:

— To już i koniec! już koniec! — Boże zmiłuj! — Hej, ty Ostapie i Jeremi, czegoż w nogach stoicie przy łóżku? Przyjdzieciez tu do mnie, podajcie wasze dłonie! — A i ty, Małanka — i ty przyszłaś do mnie?! — Jaka ty dobra... dobra... do...bra...

Chory coraz ciszej — coraz wolniej wymawiał wyrazy: dobra — utkwiał oczy w posowę — nie zmrużał już powiek — jęknął raz i drugi z

całych piersi — wyciągnął się, aż kości w stawach zatrzeszczały — chrapanął i skonał.

Dziewczę truchłało, patrząc na to wszystko, a kiedy ojciec wydał ostatnie tchnienie, rzuciła się mu na piersi z rozdzierającym krzykiem i zemdlła.

A wiatr świszcział jeszcze przeraźliwiej na dworze — okiennica jeszcze gwałtowniej biła o ścianę, fórtka jeszcze żałośniej piszczała — a lampka, zabłyśnawszy nadmierném światłem, — które się w tę i owę stronę chwiało i staniało, zagaśła nagle.

I cicho było w opustoszałej izbie — bo anioł śmierci przez nią przeleciał.

W cztery dni po opisanym wypadku słońce ślicznie świeciło. Ani śladu brzydkiej burzy, jaka szalała przed kilkoma dniami.

W izbie opisanéj stała na dwóch stołkach skromna trumna — w niej spoczywał nauczyciel, snem wiecznym uspiomy. Wieko trumny stało opodal o ścianę oparte.

Twarz niebożczyka była wypogodzona i przyjemna — przyjemniejsza, niż za życia. Błogi spokój na niej spoczywał.

W kąciку przy piecu siedziała żebrająca babka, która pilnowała ciała, szepcząc pacierze i raz po raz spoglądając na niebożczyka ukradkiem.

Pokutował on bowiem noc przy nocy, wedle opowiadań babki, na górze szkólnéj. Nie miała

przeto zaufania. Bała go się na dobre, a niebożczyk mimo to zdawał się łagodnie uśmiechać w trumnie.

Tymczasem w blizkiem miasteczku bito we dzwony, powychodziły cechy z chorągwiami i z jarzącem światłem, i tłumy ludu zebrały się, aby ostatnią posługę oddać „zacnemu“ nauczycielowi, który trzy pokolenia uczył.

Pocziwi to ci nasi ludziska! Po śmierci zawsze oni przyznają zasługi! Jaka szkoda, że się za życia owych zasług dopatrzeć nigdy nie mogą.

Bądź jak bądź, zmarły pan nauczyciel miał „bardzo piękny“ pogrzeb, jak się ludziska wyrażali. Pochowano go uroczyście.

A biedna owa córka?

Nie była na pogrzebie, ciężko zachorowała. Po długiej i ciężkiej bardzo chorobie wyzdrowiawszy, zmieniła się do niepoznania. Wykształcona starannie kosztem dziedzica sąsiedniej wioski, bardzo szczęśliwie za mąż wydana. Niechaj żyje szczęśliwie i pilnuje ojcowskiej mogiły.

A ty, — dobra, szlachetna i nadobna pani, coś mi o śmierci pisać kazała, przestań raczej igrać z tak groźnym przedmiotem. Niechaj tylko ci na drugi świat się przenoszą, których Bóg do siebie woła! Ty zaś żyj — żyj szczęśliwa, bo nie pora umierać szlachetnej „Goplanie!“ Jeszcze dla Kujaw bardzo, bardzo potrzebna.

4. IX. 85.



60

Nr 620548

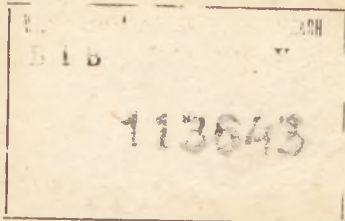
KSIĘGARNIA

ANTYKWARIAT



Nr 620548

XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX



Biblioteka WSP Kielce



0156444